ROK VI. CHICAGO, dnia 13go GRUDNIA 1888. No. 50



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble st, Chicago.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „D[illegible] Swięty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

CHICAGO, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 13 grudnia.	Łucyi i Otylii p. m.	Władysława.
Piątek, 14 grudnia.	Nikazego b.	Sławiňor.
Sobota, 15 grudnia.	Ireneusza b.	Wolimir.
Niedziela, 16 grudnia.	3 Adwent. Euzebiusza b.	Zdosława.
Poniedziałek, 17 grudnia.	Łazarza bisk.	Żyrosław.
Wtorek, 18 grudnia.	Oczekiwanie N. M. P.	Wszemir.
Sroda, 19 grudnia.	Nemezeusza męcz.	Mścigniew.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ III ADWENTOWĄ.

Ewangielia ś. Jana w rozdz. I. od w. 19. do 29.

W owym czasie posłali Żydzi z Jerozolimy kapłany i Lewity do Jana, aby go spytali: Ktoś ty jest? I wyznał a nie zaparł się; a wyznał: jam nie jest Chrystus. I spytali go: cóż tedy, jesteś ty Eliasz? I rzekł: nie jestem. Jesteś ty prorok? I odpowiedział: nie. Rzekli mu tedy: Ktoś jest, żebyśmy dali odpowiedź tym, którzy nas posłali? co powiadasz sam o sobie? Rzekł: Jam głos wołającego na puszczy: Prostujcie drogę Pańską, jako powiedział Izajasz Prorok. A którzy byli posłani, byli z Faryzeuszów. I pytali go, a mówili; Cz muż tedy chrzcisz, jeżeliś ty nie jest Chrystus, ani Eliasz, ani Prorok? Odpowiedział im Jan, mówiąc: Jać chrzczę wodą, ale w pośrodku was stanął, którego wy nie znacie. Ten jest, który za mną przyjdzie, który przedemną stał się: któregom jam nie godzien, żebym rozwiązał rzemyk u trzewika Jego. To się działo w Betanii za Jordanem, gdzie Jan chrzcił.

Mniemany żebrak.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

Ciąg dalszy.

— Nie, moi drodzy, choć zrazu pozory omylić mogły, Wawrzyn Nowak nie jest winnym tej straszliwej zbrodni. Owszem, rozwinął on tylko pochwały godne poświęcenie i odwagę, spiesząc na ratunek tej oto dziewczynki, którą od pewnej ocalił śmierci. Zanim tego dalsze śledztwo nie zatwierdzi, już dziś chciałem wam tak pomyślnej udzielić wiadomości, aby nikt się nie ważył dzielnego młodziana znieważać niesprawiedliwem podejrzeniem. Tu zwracając się do młodego żołnierza, dodał sędzia:

— Wawrzynie Nowaku, winszuję ci twego pięknego postępowania, o którem się twój pułkownik dowie. Teraz jesteś wolnym i możesz do domu powrócić. W tejże chwili okrzyk radości dał się słyszeć, i na szyi Wawrzyna zawisła jego matka. Słysząc świadectwo sędziego, które całkowicie oczyszczało sławę jej syna, nie mogła wstrzymać żywych oznak szczęścia.

Do ostatniej chwili właściwie nie wiedziała, co się stało. Zbudzona wraz z drugimi okrzykiem: „Gore!“ chciała spieszyć za innymi, na co Maciej stanowczo nie pozwolił, twierdząc, iż raczej męzkie to zadanie.

Czekała tedy na powrót synów, i dopiero gdy Maciej upoważniony przez żandarma, nadbiegł do chaty, dowiedziała się o wszystkiem, i w najlepszą przybyła chwilę.

Atoli radość jej nie miała trwać długo. Mimo zaręczeń sędziego, zewsząd szemrania się podnosiły. Jakubową nie lubiono we wsi, gdyż trzymała się na uboczu, i mimo ubóstwa, wiele zawsze zachowała godności, na własną tylko licząc pracę. Teraz zaś wzrost stopniowy jej dobrobytu nowe wzbudził był zazdrości.

Usłyszała ona owe niechętne szemrania i pobladła, odgadując uczucia zebranych. Wawrzyn nie zaraz je ocenił. Widząc jednak groźne w około spojrzenia, pomiarkował się,

i śmiało podniósł czoło. Maciej tylko pięście zaciskał i gdyby nie obecność matki, gotów był odrazu przetrzepać niechętnych. Sędziowie zdumieni tak niespodzianym rzeczy obrotem, zwrócili się do zgromadzonych.

— Nakazuję wam milczenie, — krzyknął sędzia śledczy, —a zwłaszcza uszanowanie dla tych, których sprawiedliwość uznała niewinnymi, i osłoniła przed wszelkim zarzutem, kto temu uchybi, odpowie za to przed trybunałem.

Surowość głosu stłumiła szemrania i wróciła porządek. Jeden z sędziów dodał, że kto roznosi niesłuszne podejrzenia, na lat parę za oszczerstwo może się dostać do kozy. Uspokoiło to zjadliwość głównych podżegaczy niepokoju i niechęci. Żandarm skinął na obu Nowaków, aby odprawadzili siwą matkę. Zaledwie jednak się ruszyli z miejsca, nowe wybuchły krzyki:

— Przepuśćcie mordercę! — szepnęła jedna z kobiet, gdy Wawrzyn obok niej przechodził. Wawrzyn już podnosił rękę, aby zmyć tę obelgę, lecz na skinienie matki dał pokój, a ona łagodnie przemówiła:

— Pożałujesz tych słów, Małgosiu, i za nie jeszcze przepraszać będziesz. Niech ci on przebaczy, jak ja dziś przebaczam. Po tych słowach zabrała synów i oddaliła się z nimi. Kasienka za nią wybiegła, czepiając się fartuszka wybranej doraźnie opiekunki. Zrazu w milczeniu kroczyli. Wzruszenie tamowało im mowę. Gdy jednak znaleźli się na polu, zdala od od wzroku ciekawych lub niechętnych, Wawrzyn zwrócił się ku matce, a na widok łez spływających po jej twarzy, spytał łagodnie:

— Alboż, matko, przypuszczacie, że jestem winnym? Jakóbowa podniosła na syna oczy zaiskrzone miłością i zupełnem, tkliwem zaufaniem.

— Ani na chwilę takiej myśli nie miałam, dziecko moje poczciwe, ukochane; okazałeś się dzielnym i poświęcającym jak zawsze, a jeżeli ta biedna dziewczynka ocalała, niczyi jeno twoją jest zasługą.

Matka uścisnęła syna, pofolgowała dławiącym ją o chwili szlochaniom. Wawrzyn zaraził się snadź wzruszenie:

matki, bo stali tak jakiś czas w niemym uścisku, łzy i pocałunki mięszając razem.

Maciej przystąpił do nich, a pochwyciwszy za dłoń brata, rzekł z zapałem:

— Nie jedna tylko matka wierzy w twą niewinność. I ja o niej nie wątpię i gotów jestem bronić jej pięścią. Biada temu, kto cię zaczepi!

— Nie porywaj, się ani gróź nikomu, mój Macieju, — wtrąciła matka. — Inne są sposoby, lepsze, aby przekonać tych, którzy jeszcze wątpią o niewinności Wawrzyna.

— Matka nasza ma słuszność. Nie chcę, abyś dla mnie wdawał się w jakie spory lub bójki, — rzekł Wawrzyn.

— Chcesz, abym milczał, gdy cię szkalują! — zawołał Maciej.

— Pragnę, abyś cicho czekał, aż się właściwy morderca nie odnajdzie.

— A jeśli go nie odkryją wcale?

— Tego się nie boję, — rzekł Wawrzyn spokojnie. Nadto już zebrano poszlak, aby winowajcy nie znaleść prędzej. Zresztą możemy dopomagać usiłowaniom i poszukiwaniom policyi.

— Tak jest, — krzyknęła Kasienka z przekonaniem. — Szukać trzeba na wszystkie strony.

A gdy Jakóbowa obejrzała się na dziewczynkę, ta pokornie ucałowała ją w rękę, mówiąc:

— Alboż mnie wypędzicie teraz, bo Piotrowskich już nie ma, aby mnie przygarnąć?

— Jakże możesz to przypuścić? — odrzekła wdowa, rozczulona zaufaniem dziewczynki. Nie mam córeczki, będziesz więc nią dla mnie, jeśli nikt temu nie przeszkodzi.

Kasienka ucałowała z wdzięcznością rękę nowo obranej sobie opiekunki, a następnie pobiegła naprzód ku chacie, jakby jej było pilno w niej się rozlokować, i obrać sobie stały kącik.

X.

Powróciwszy do domu, Jakóbowa nie usiadła ani spoczęła, mimo przebytych wzruszeń i zmęczenia.

Pospiesznie wyłożywszy odświętne z szafy suknie, wskazała synom na zastawione śniadanie:

— Jeśli wam się jeść chce, pokrzepcie się dzieci moje, ja tymczasem idę się ogarnąć.

— Gdzież to się matko wybieracie?

— Wszakże dziś Niedziela, a czas wielki na nabożeństwo.

— Zostawimy śniadanie na później, a teraz pójdziemy wszyscy razem do kościoła, — rzekł Maciej. Kasienka przyłączyła się do nich. Gdy weszli wszyscy czworo do świątyni Pańskiej, i zwykłe w niej zajęli miejsca, pewne zdziwienie wśród wiernych się pojawiło, i każdy po swojemu ich postępowanie oceniał. Wszelako, gdy po nabożeństwie zabrali się do odejścia, nikt im w drodze nie stanął, nikt ich przykrem słowem nie zasmucił. Wszyscy byli pod wrażeniem kazania zacnego proboszcza, który uwiadomiony o wszystkiem, piorunował przeciw sądom niesprawiedliwym, niesłusznym podejrzeniom i oszczerstwom. Słowa jego przyprowadziły do upamiętania tych wszystkich, których namiętność nie zaślepiała. Ale mimo to żadna ręka życzliwa nie wyciągnęła się z powitaniem ku przechodzącym. Usuwano się nawet z ich drogi, odwracano prawie. Zapewne, minęła gwałtowność pierwszych posądzeń i pozorów, nie starło się jednak mętne a niechętne wrażenie. Upór wiejski z trudnością ustępuje rozumowaniu, więcej niż faktom, własnym wierząc oczom. Tu zaś wielu widziało Wawrzyna pochwyconego na miejscu zbrodni, z krwawym drągiem w ręku. Co więcej, rozeszła się po wsi całej plotka, której zrazu nikt nie wierzył, a o której wszyscy ustawicznie radzili, mimo całego jej nieprawdopodobieństwa i głupstwa. Ktoś wymyślił, iż Kasienka w całej tej sprawie musiała być narzędziem chciwości Nowaków, że ona Wawrzynowi otworzyła i ułatwiła spełnienie zbrodni, i że jeśli ją wdowa przyjęła do siebie, to że wspólnictwo okropnego czynu odtąd ich z sobą wiązało.

Najżyczliwiej usposobieni nie kwapili się z okazaniem swej życzliwości Jakóbowej, dopóki odkrycie właściwego

zbójcy i złodzieja nie omyje jej syna z słusznych czy nie słusznych podejrzeń i potwarzy. Cichy dzień niedzielny Jakóbowa spędziła tedy z synami i Kasienką w obrębie własnej zagrody. Choć nie tak wesoło, jak się wczoraj na to zanosiło, jednak swobodniej niż się spodziewali zrazu, czas im upływał. Pewność, że Wawrzyn nie miał nic zgcła na sumieniu ukrzepiała ich, a miłość wzajemna cieszyła. Dwojakie odwiedziny mile im dzień urozmaiciły. Pierwszy przybył zacny pleban i ukoił ranę serdeczną poczciwych swych parafian. Wieczorem zjawił się i żandarm, który najdzielniej wciąż w obronie niewinnych występował. Później jeszcze trzeciego mniej przyjemnego doczekali się gościa i był nim stary Niedola, jak zwykle w święto jeszcze bardziej poderznięty.

— Darujcie staremu, że was wczoraj strul głupiemi przepowiedniami, wołał dziad od progu. — Wolałbym sobie język uciąć, aniżeli takie rzeczy gadać. Gdym się dowiedział, co zaszło, niedolaż moja! tak sam na siebie się gniewałem, żem nieledwie ostatek włosów z głowy wyrwał. Ale gdy się napiję za wiele, niedolaż moja! sam nie wiem co gadam.

Jakóbowa na widok starego niedoli zrazu czoło zmarszczyła, ale niebawem z uśmiechem dobrotliwym jęła słuchać skruszonych wyznań dziada.

— Nie martwcie się stary, ani pamiętam coście wczoraj gadali, tem mniej mogę tedy chować do was urazę.

— Wiemci ja dobrze, że z was złota kobieta! ale gdyby to zależało od starego Niedoli, jużby wszyscy oszczercy, zazdrośnicy, którzy was i Wawrzyna obgadują, dawno na dnie rzeki milczeli. Jakóbowa pobladła na wspomnienie doznanych przykrości.

— Nie mówilibyście lepiej o tem, nie chcę nic wiedzieć ani słyszeć, — rzekła z żywością.

— Macie słuszność, bo byście się nadto umartwili. Jakiż to świat niegodziwy, — ciągnął dalej żebrak ze zwykłym ukrytym jadem. — Gdyby jeszcze takiego starego jak ja grzesznika szkalowali, nie dziwiłbym się wcale. Ale targać się na biedną, świątobliwą wdowę! zaiste ludzie nie mają ani

serca, ani rozumu. Jakóbowa chcąc się pozbyć dziada, pospiesznie jęła krajać spory kawałek chleba.

— Co wypadków od wczoraj! — mówił niczem nie uciszony żebrak. Niedolaż moja! Pomyślcie sobie, że już nie zobaczymy więcej starych Piotrowskich, dobrych ludzi, choć skąpców. Już to chleba nie użyczyli tak hojnie jak wy ubogiemu. Ale za to raz po raz nie żałowali kieliszka wódki, bez przymówki. Doprawdy raz więcej powiedzieć można: źli zostają, dobrzy odchodzą.

— Każdy to pomyśli, gdy was zobaczy, próżniaku, — rzekł wchodzący Maciej. — Cóż tu robicie znowu? czy prorokujecie dalsze biedy?

— Nie zawstydzaj mnie chłopcze tym wyrzutem, — rzekł pozornie skruszony żebrak.

— Przynajmniej żałujecie wczorajszych waszych pogróżek?

— Ma się rozumieć, już wolałbym dzban wody wypić, aniżeli je powtórzyć. Chcę się pogodzić z wszystkiemi, nawet z Kasienką. Chodź dziecko, niech cię ucałuję. Dziewczynka cofnęła się ze wstrętem.

— Czemuż się boisz? — spytał poufale żebrak.

— Nie boję, lecz brzydzę wonią tabaki i wódki. Podała ma chleb tak niechętnie i pospiesznie, że byłby upadł na ziemię, ale dziad skibkę zręcznie pochwycił. Ruch ten, wszelako odsunął chustkę, w którą ręka żebraka była owiniętą, odsłaniając tuż przy wielkim palcu kilka czerwonych plamek , wyglądających na ukąszenie. Dziewczynka pobladła, tamując atoli swe wzruszenie, zapytała spokojnie:

— Cóż wam to w rękę, Niedolo? Zagadniony drgnął niepostrzeżenie, i szybkim ruchem przysłonił chustą rękę.

— Nic to, nic, pies z końca wsi znów się na mnie rzucił i nieco szarpnął, ale za dzień, dwa, wszystko się zagoi i ból minie. Schowawszy chleb do torby, żebrak nie bałamucił więcej w miejscu, lecz odszedł szybko, nawet pospiesznie. Kasienka tymczasem powróciła na swoje miejsce przy ognisku, i do końca siedziała zadumana w milczeniu. Dopiero gdy się wszyscy rozeszli na spoczynek, a wdowa do pacie-

rza przyklękła, dziewczynka ujęła ją za rękę pieszczotliwie:

— O cóż Boga prosić zamierzacie matko?

— Dla czegóż mnie o to pytasz, Kasienko?

— Aby wspólnie z wami się modlić.

— Prosić będę o łaskę szybkiego odkrycia mordercy Piotrowskich, tak aby już żadne na nas posądzenie nie ciężyło.

— O to z ufnością prosić możemy. Bóg nas niezawodnie wysłucha.

— Obyś się nie myliło, dziecko! — odparła pocieszona ufnością dziewczynki Jakóbowa. Ale to przelotne wrażenie nie skróciło jej gorącej i przeciągłej modlitwy.

XI.

O ćwierć mili od wioski, w której rozwija się wątek naszego opowiadania, na stoku wyższej i skalistej góry wznoszą się dotąd zwaliska starego zamku potężnej niegdyś rodziny, dziś tak opustoszał, iż nie znalazłby się kącik dachem osłonięty. U wstępu, w głębi fosy, nad którą dawniej most zwodzony przechodził, pozostały jednak otwory, w pół zarosłe cierniem i tarniną, które prowadziły do podziemin zamkowych. W jednej z takich piwnic stary Niedola oddawna zamieszkiwał, niby lis w norze. Stok góry, na której sterczały gruzy dawnego zamku obronnego, porastał lichą trawą, na której stary Piotrowski wypasał własne bydło, nie zawiszcząc i uboższym wsi mieszkańcom łączki, która do niego należała. Łąka ta, w górze zaledwie zieleniejąca się, coraz lepszych dostarczała pastwisk, w miarę jak spuszczała się ku wybrzeżom płynącego opodal strumyka. O kilkaset kroków od starego zamku, widnieje dotąd kaplica, ostatni szczątek wioski, niegdyś bardziej zbliżonej do pańskiej na górze siedziby. Kaplica ta z rzadka się tylko dla nabożeństwa otwiera, w krzyżowe dni stanowi jedną z stacyi pokutnych procesyi, zresztą drzwi jej pozostają nieomal przez cały rok zawarte. W miesiąc po wypadkach, które opisaliśmy wyżej w rannych godzinach, stok góry uwieńczony zamkiem, roił się od rozproszonego na pastwisku bydełka. Kilka koni spętanych pasło się opodal strumyka, Kasienka zaś usa-

dowiła się na kamieniu przy ruinach, aby mieć oko na dobytek Piotrowskich, który po dawnemu wypędzała w pole. Staruszkowie nie mieli blizkich spadkobierców, sprawa więc dziedzictwa nie prędko uregulować się mogła. Sąd tedy od czasu do czasu zachował dawną służbę gospodarską, a Kasienka, choć mieszkała u Jakóbowej, na cały dzień wychodziła do zagrody Piotrowskich, aby wraz z dziewką służebną pamiętać o bydle i trzodzie, zanim drogą publicznej licytacyi wszystko nie zostanie sprzedanem. Kasienka miała w ręku robotę, częściej jednak spoglądała na drogę, jakoby wyglądając kogoś z niecierpliwością. C. d. n.

JEDNA NOC.

OBRAZEK PRAWDZIWY Z ŻYCIA LUDU WIEJSKIEGO

Napisał Fr. Marzec.

Maciej Skiba był dość zamożnym gospodarzem. Posiadał ładne koniki i bydełko, kilka morgów urodzajnej gleby a domostwo jego uważano za jedno z najpiękniejszych w całej wiosce. Miano go więc ogólnie za szczęśliwego człowieka. Był też nim w istocie Maciej, bo Pan Bóg błogosławił jego uczciwej pracy, a spokój i szczęście mieszkały w domu poczciwego Skiby.

Lecz wypogodzone Macieja oblicze, na którem malowały się spokój i zadowolenie wewnętrzne, od pewnego czasu sposępniało, a jakby jakaś gruba chmura osiadła na jego czole; stał się smutnym i milczącym, nawet praca nie szła mu jakoś, słowem zupełnie się odmienił.

Ludzie różnie sobie tę zmianę w usposobieniu Macieja tłómaczyli, a że wielu jest takich, co to chętnie o swym bliźnim źle mówić lubią, więc też dawały się słyszeć tu i owdzie różne głosy:

—Coś Skiba ma na sumieniu i robak wewnętrzny nie da mu spokoju, pewnie kogoś skrzywdził -- odezwie się Paweł Nicpoń.

— Ale, tego tam nie można powiedzieć, bo go przecież znamy wszyscy dobrze,—odrzekł Wojciech Kusion, tylko oto

widzicie syn jego Walek dopomina się o grunt, a staremu jakoś przykro iść na wymowę i na swój garnczek, tak mu tedy to sęka zabiło do głowy.

— A bo syn jest łajdak i niegodziwiec, — przerwał mu rozsądniejszy Jan Rębacz. Jak tylko przybył od wojska, tak się ze starym ojcem tylko kłóci, nic nie robi, a w karczmie ciągle siedzi. Toż nie inna jest przyczyna smutku poczoiwego Skiby.

— Świętą prawdę mówicie, zakończył Maciej Jarzyna, już to mnie się zdaje, że z tego Walka nic dobrego nie będzie, bo tylko do kart i do karczmy zapalony, a do roboty ani rusz. Mój Boże, co się też to z niego stało przez ten niedługi czas przy wojsku!

Ci dwaj ostatni gospodarze powiedzieli prawdę. Skiba miał tylko jedno dziecko, a tem był syn Walek, którego jak najuczciwiej przy sobie do lat dwudziestu wychował. Był to chłopak piękny, rumiany i zuchwały, iż podobnego nie znalazłbyś we wsi. Oprócz tego, cały dzionek boży widzieć go można było przy pracy, do niczego się nie lenił, do kościoła zawsze chodził i modlił się przykładnie. Lubiano go też we wsi i szanowano, a niejedna bogata ojcowiszka miluchnem na niego spoglądała oczkiem, bo się Walek mógł każdemu spodobać. Mówiono też we wsi:

— Już to Walek podał się po ojcu, taki zapobiegliwy, robotny, a jaki skromny i dobry, złote ma serce, nie pożałuje nigdy ta dziewka, która za niego pójdzie. Takim był Walek do lat dwudziestu. W dwudziestym roku życia wzięto Walka do wojska. Z boleścią w sercu i żalem niewymownym opuszczał chatę i kochanego ojca, smutno mu było okropnie opuszczać tę wioskę, gdzie tak był szczęśliwym, Bóg wie, na jak długo. Zapłakał więc Walek, kiedy go ojciec błogosławił na drogę.

Dziwią się niektórzy temu, że ojciec lub matka płaczą o swego syna, kiedy go wezmą do wojska powiadając:

— Po co płakać i żałować, czy jemu tam źle będzie? obejrzy nieco świata, napatrzy się różnym obyczajom ludzi, ogładzi się, nauczy się wiele i jeżeli Bóg pozwoli, to znowu wróci do domu.

Ale czy powróci z tymi samymi dobrymi zasadami, z tem samem sercem i z tą samą myślą, z jaką opuścił dom rodzicielski? Są wprawdzie wyjątki, ale niestety, dość często się zdarza, że i najlepszy chłopak wraca do domu wielce popsuty. Otóż i Walek po kilkuletniem pobyciu przy wojsku, gdy wrócił do wioski, odmienił się nie do poznania. Dawna skromność gdzieś znikła, a na jej miejscu osiadła duma i zarozumiałość. Jak przedtem nie używał wódki, tak teraz w karczmie wysiadywał ciągle i pił nieustannie. Nie tylko z innymi ludźmi, ale nawet z rodzonym ojcem obchodził się po grubiańsku i zawsze był gotów do przekleństwa i kłótni. Udawał, że nie umie mówić jak dawniej czysto po polsku, ale jakoś szwargotał ni tak ni owak. Do roboty ani go rusz, a co najgorsze, że nigdy nie widział go ojciec, aby się rano lub wieczór pomodlił. Nie trudno więc sobie teraz wytłómaczyć smutku poczciwego Macieja na widok tej okropnej zmiany w usposobieniu Walka. Ojciec widział był w w nim zawsze całą nadzieję i pociechę w starości, a tu naraz ów syn stawał się przez swe złe życie zabójcą jego szczęścia i przedwcześnie torował mu drogę do grobu.

Walek nic sobie z tego nie robił, że ojcu z każdym dniem siwych włosów więcej ze zmartwienia na głowie przybywa, jeno po całych dniach siedział w karczmie za stołem i stał się prawie pijanicą. Przyjaciół do kieliszka i do kart miał zawsze obok siebie pełno, a żyd, kiedy się nieraz niby wzbraniał dawać wódki na kredyt, lub pieniędzy pożyczać, to Walek dumnie zakrzyczał:

— Sakeriot nochmol, szczo to je? lebo to ja ne jest pon? cyj to je gront, a dom, a śkapy? holt! jak zechcem, to teroz glojch sziecko je mój w doma obrychtunek! I żydzi dawali pić, ile Walek zażądał.

Tak trwało długi czas.

Razu pewnego przyszedł Walek jak zwykle pijany do domu, a widząc, że ojciec siedzi zaturbowany, zabełkotał podnosząc rękę do góry.

— No halt! jo zrobim jutro ordynk, wyśtrafirujhm se, pójdziem najpierw na śnapsa z mojemi kamratami.... jo

pojmiem holku.... ożenim se.... ne myślim być knechtem! holt! jo pon! — i przy tych słowach podniósł do góry pięść mocno zaciśniętą.

— Walku! — odezwał się ojciec ze łzą w oku, — czy ty już nie masz Boga w sercu, że się chcesz zmarnić, a mnie do grobu wprowadzić?

— No, to mnie je sziecko jedno, oles oinc, — co oni rzekają — odpowiedział niegodziwy Walek, a zatoczywszy się bezwładnie pijany na posłanie, zasnął snem twardym.

A wiecie wy co Walek zamyślał na drugi dzień? Oto namówiony przez niegodziwych przyjaciół, jakich miał przy kieliszku i na rady żyda, postanowił nazajutrz oświadczyć ojcu, aby mu grunt oddał, a jeżeliby tego po dobroci nie uzyskał, to miał zamiar do upadłego się kłócić, a nawet może i co gorszego miał na myśli, aby tylko ojcowiznę odebrać. Potem miał się z jakąś tam miastową, jak on nazywał „holką“ ożenić.

Co się jednak stało, zaraz zobaczymy.

Kiedy Walek rzucił się na posłanie i zasnął twardym snem, upadł stary ojciec na kolana, a złożywszy ręce, zawołał ze łzą w oku z głębi serca:

— Boże Wszechmocny! zlituj się nademną i nad nim! natchnij go o Boże dobrą myślą, a daj mu upamiętanie! Wysłuchaj prośbę niegodnego grzesznika, którą za swojem dzieckiem do tronu Twego zanosi, zmiłuj się o Boże, zmiłuj się nad nami! I pochylił się starzec ku ziemi i modlił się długo a rzewnie, bo łzy czyste jak perły, łzy gorzkie boleści padały z ócz jego na ziemię. Powstał potem wzmocniony tą modlitwą na duchu i położył się do łóżka.

....

— Daj żydzie śnapsa! krzyknął Walek na drugi dzień w karczmie, zeszedłszy się z kamratami. Już je fein, dziś mój gront, a dom, a śkapy i sziećko!

— Wiwat! wrzaśli kamracia, żyjemy!

— Ny, panowie żyją, bo panom wipada żić, mlode pany: ale poco go stare ludzie mają zawadzować, — odezwał się rudy żyd, spojrzawszy znacząco na Walka.

Wtem drzwi się otwarły i wszedł Maciej Skiba. Jakoś dreszcz przeszedł Walka, bo wiedział, że ojciec nigdy do karczmy nie zagląda, lecz ze złością zapytał ojca:

— Co oni mają mnie szpiegować? albo to ja dezynter? bassamazenia, Terremtete.... reks front.... marś! i wskazał ojcu drzwi.

Zakipiała krew w żyłach Macieja, postąpił ku Walkowi i z całej siły, pierwszy raz w życiu, uderzył go w twarz.

— Ha, ha, ha! zaśmiali się towarzysze, dasz się bić jak dziecko?

Zerwał się Wąlek z ławy, spojrzał groźnie na swego rodzica.... a potem pchnął go tak silnie w piersi, że ten jak długi potoczywszy się, runął w tył na izbie karczmy. Jęknął starzec boleśnie i zawołał:

— O Boże ratuj mię!

Uderzywszy Walek swego ojca, spojrzał po karczmie, nie było już towarzyszów jego, więc czemprędzej i on wyskoczył oknem na pole.

Na polu było pełno ludzi.... wszyscy chcieli Walka złapać, ale on jakby cudem, wymknął się im i uciekł; słyszał tylko jakieś głosy i krzyki za sobą, lecz nie oglądał się, uciekał dalej, a dalej. Choć wiatr z deszczem tamowały mu ucieczkę.... nie uważał na nic.... brnął po błotach i bagnach, gdzie go oczy niosły, bo wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju, jeno go dalej a dalej od rodzinnej wioski do ucieczki zmuszały.

I przybył wreszcie okropnie zmęczony i zziębnięty do jakiegoś lasu. Noc była ciemna, a deszcz lał okropnie. Już dalej nie mógł uciekać, bo mu nogi odmówiły posłuszeństwa. Zafrasował się Walek niezmiernie, jak tu noc w tak ciemnym lesie przepędzić.... a deszcz leje jak z ryny.... Aż tu rozgląda się.... stoi przed nim ogromny dąb wypróchniały. Bez namysłu więc schował się w to wydrążenie i tym sposobem znalazł wygodne schronienie przed tak gwałtowną burzą.

Lecz jak straszne myśli przesuwały się Walkowi po głowie. Zdawało mu się co chwila, że jakiś dziki zwierz ku

niemu się zbliża.... to znowu, że z wydrążenia dębu gady jadowite wysuwają się i żądłami chcą go dosięgnąć.... drżał okropnie na całem ciele, jednak siedział w ukryciu.

A tu naraz jakieś światło zobaczy:

— Już po mnie — to pewnie zbójcy, lub pogoń za mną, aby mię schwytać.... Chciał Walek westchnąć do Boga o ratunek, ale nie mógł.... a światło zbliża się coraz to bardziej i słychać jakieś głosy. I oto stanęło w pobliżu dęba trzech mężczyzn, których Walek przy świetle dokładnie zobaczył. Czarno zarośnięci na twarzy, każdy z nich miał siekierę i kilka pistoletów za pasem.... okropnie wyglądali.

Walek na pół żywy zawarł oczy, tak go te postacie raziły... Byli to bowiem, jak się domyślał, rabusie. Lecz oni zobaczyli go, i jeden zbliżając się ku dębowi krzyknął groźnie.

— Ktoś ty jest nędzniku!

Walek nie mógł słowa przemówić, lecz gdy ów czarny człowiek wymierzył ku jego głowie pistolet, odezwał się prawie umierającym głosem:

— Ja jestem Walek.... Dokończenie nastąpi.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Sty Sylwester — (314 - 335) *Rzymianin.*

Sty Sylwester był Rzymianinem, synem Rufina i Justy. Ojciec jego umarł rychło, ale kapłan pewien Karinus wziął chłopca na wychowanie. Potem został zaliczonym do rzymskiego duchowieństwa i przez Papieża Marcelina został wyświęconym na kapłana krótko przed wybuchem okropnego prześladowania chrześcian przez Dyoklecyana. Po śmierci Melchiadesa został obrany papieżem 31 Stycznia 314 r. Kiedy poprzednik świętego Sylwestra umarł, nieporozumienie wywołane przez sektę Donatystów nie było jeszcze załatwione, dla tego ten papież musiał tę sprawę dalej prowadzić,

albowiem najgłówniejszem staraniem głowy kościoła było zachowanie jedności nauki, na której jedność kościoła spoczywa. Chociaż w Lateraneńskim pałacu w Rzymie pod przewodnictwem Melchiadesa Papieża w Październiku 313 r. odprawiony był synod, którego orzeczenia nieprzychylne były Donatystom, to jednak ci tem się nie zadowolnili, lecz udali się powtórnie, jakżeśmy to już powiedzieli, do Konstantyna i nowe przywiedli zarzuty. Ponieważ Konstantyn nie mógł Donatystów uspokoić, zaprosił przeto bardzo wielką liczbę biskupów, aby się zgromadzili na koncylium do Arles w Gallii 1go Sierpnia 314 r. Na to koncylium zjechali się biskupi z Gallii, Włoch, Afryki i Brytannii. Nie będziemy opisywać wyroków tego koncylium, które powtórnie nieprzychylnie wypadły dla Donatystów, ani też o innych sprawach kościelnych, które tam były roztrząsane, powiemy tylko to, co się tyczy samego Papieża. Papież Sylwester posłał na koncylium w Arles jako swego zastępcę dwóch kapłanów Klaudiana i Wita i dwóch dyakonów Eugeniusza i Cyriaka. Gdy koncylium się skończyło, biskupi na niem zgromadzeni papieżowi dali sprawozdanie prosząc go, aby to postanowienie całemu chrześciaństwu ogłosił. Oprócz papieskich delegatów były na tem koncylium reprzentowane 44 Dyecezye i to 33 przez biskupów, reszta przez kapłanów i dyakonów. List pisany do Papieża zaczyna się od tych słów: My złączeni przez miłość i jedność naszej matki kościoła katolickiego, z woli cesarza zgromadzeni pozdrawiamy Cię najpobożniejszy papieżu z winnem uszanowaniem z tego miejsca, w którem od ludzi niebezpiecznych dla naszych praw i tradycyi dużo wycierpieliśmy, itd. Potem biskupi oznajmiają papieżowi swoje postanowienia w sprawie Donatystów i ubolewają nad tem, iż papież nie mógł być osobiście na tem koncylium. Niestety nie mógł on opuścić miejsca, w którem Apostołowie (S. S. Piotr i Paweł) zawsze jeszcze przewodniczą i gdzie zawsze jeszcze ich krew wylana bezustannie ogłasza chwałę bożą. Z tego postępowania jasno wynika, iż wszyscy chrześcianie zachodu ze rzymskim kościołem jak najściślej byli złączeni i że papieża Sylwestra

uznawali i czcili jako widzialną głowę kościoła. Po koncylium w Arles wielu Donatystów powróciło na łono kościoła katolickiego, inni trwali w uporze i sekta długo jeszcze istniała.

Gdy papież Sylwester zaczął panować, państwo rzymskie było podzielone tylko pomiędzy Konstantyna a Liciniusza. Ale pokój między temi dwoma mocarstwami nie trwał długo; już w r. 314 powstały nieporozumienia i wybuchła wojna, która po kilku bitwach na tem się skończyła, iż Liciniusz był zmuszony przyjąć warunki pokoju, które go pozbawiły posiadania greckich prowincyi; pozostawiono mu tylko Tracyę, Azyę, i Egipt. Pyszny Liciniusz tę hańbiącą klęskę niechętnie znosił i tylko czekał na okazyą, w której by mógł mieć nadzieję pomszczenia się nad Konstantynem. Wskutek czego niebawem powstała nowa wojna, o której później pomówimy.

Podczas panowania św. Sylwestra utworzyło się i rozwijało się życie ascetów. Gdy bowiem ustało prześladowanie, poganie bardzo licznie się nawracali do kościoła katolickiego, ale też duch przeciwny duchowi chrześciaństwa wkradał się między ludzi, wiara się zmniejszała, miłość stygła, dawniejszy zapał u wielu zgasł. Niektórzy z wierzących którzy to spostrzegli, odłączyli się od świata, aby na samotności modlitwą i pobożnemi ćwiczeniami Bogu służyć. Tych właśnie ludzi nazywano ascetami. Pierwsi asceci żyli w osobnych domach a później pojedyńczo szli na pustynią, gdzie w chacie pojedyńczo, lub we dwóch lub też we trzech mieszkali; nazywano ich też Eremitami, pustelnikami, Anachoretami. Mianowicie w Egipcie ten sposób życia rozpowszechnił się i za czasów papieża Sylwestra całe zgromadzenia takich scetów istniały. I w ten sposób powstały wcześnie zakony.

C. d. n.

NAIWNOŚĆ. Proszę mamy, dlaczego tata taki łysy? — Bo widzisz, synku, tata dużo myśli. — A czemuż mama ma tak dużo włosów na głowie?—Czemu?...no, nie bądź taki nudny.

O PANNACH. Panna, gdy panną, miewa anielską naturę, wyszedłszy za mąż, jeżową wdziewa na się skórę.